

Izabela Jarosińska

O kobietach, herbacie i kamizelkach

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (35), 122-125

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

wykle dobry i mądry człowiek. Po prostu – on nie miał maski, a zarażem był dobry i mądry.

Dzięki kalendarzykowi mogę dokładnie powiedzieć, że byłem u niego 28 listopada 1991 r. Już był chory, ale tego nie zauważyłem. Wciąż jeszcze się fascynował autobiografią jako rodzajem literackim. W związku z tymi zainteresowaniami pożyczył ode mnie *Wyznania świętego Augustyna* i *Życie Teresy od Jezusa*. Twierdził, że w literaturze polskiej ten rodzaj literacki jest praktycznie nieznany. „Może tylko Zamoyska jest tu wyjątkiem” – dodał. Kiedy już byłem w płaszczu, powiedział mi jeszcze, że nie czyta teraz żadnych gazet i że nigdy by nie przypuszczał, że to tak dobrze robi dla ducha. Myślę, że przy pożegnaniu był tak samo oschły jak zazwyczaj, ale tego nie pamiętam.

Potem już było tylko spotkanie w szpitalu. Niesamowita to była rozmowa. Poznał mnie, na moje pytania (najprostsze, rzecz jasna) reagował rzeczowo, aby zaraz potem wciąż na nowo odpływać w dziwną mowę, wypowiedaną w poprawnych zdaniach, której treść jednak nie przystawała do rzeczywistości. Mówił wówczas przeważnie po angielsku.

Jeszcze po śmierci oddał mi wielką przysługę. Mianowicie, wspominając go w rozmowie z Ryszardem Herczyńskim, napomknąłem coś o jego stanowczym sprzeciwie wobec eutanazji. Zastanawiał się nawet nad wydaniem u nas książki swojego przyjaciela, doktora Fenigseny, na temat fatalnych skutków, jakie przysły w ślad za legalizacją eutanazji w Holandii; rozdział z tej książki opublikował w „Almanachu Humanistycznym”. „A może chciałbyś mieć adres doktora Fenigseny?” – zapytał mnie Ryszard. I tak efektem naszej żalobnej rozmowy o Zimandzie będzie polskie wydanie tej niezwyklej książki jego przyjaciela.

Listopad 1992

Jacek Salij

O kobietach, herbacie i kamizelkach

Kolejność była chyba właśnie taka. Najpierw kobiety. W życiu Romana Zimanda odgrywały – oczywiście – niesłychanie ważną rolę, przy czym za każdym razem dama serca pojawiała

w czarnej masce, z tajemniczym uśmiechem i palcem na ustach. Krótko mówiąc: był Roman człowiekiem zabójczo dyskretnym. Nasza przyjaźń była, niestety, krótka. Zaczęła się na dobre w dobrym stanie wojennym, choć przedtem, a jakże, dziesiątki lat kolegowaliśmy się w Instytucie. Lecz kiedy pamiętnej nocy grudniowej generałowie postanowili internować kożuszek na śmiecance ówczesnej elity intelektualnej, pozwoliłam sobie nareszcie wykorzystać tę sytuację, i w liście do internowanego R. Z. zaproponowałam Mu bruderszaft. Nie odmówił. A kiedy w końcu wrócił – dopełniliśmy rytualnych czynności irlandzką whisky i tak się zaczęła prawdziwa przyjaźń i współpraca. Pomagałam Mu robić „Almanach Humanistyczny”, później wybory z „Commentary”, a On pomagał mi przetrwać różne komplikacje, nie tylko sercowe. Wiedziałam, że zawsze mogę Go spytać, co to właściwie jest ten postmodernizm i dekonstrukcjonizm, wiedziałam też, że zawsze mogę liczyć na Jego milczącą serdeczność, nawet na lekką kpinę, tak kojąco działającą na rozdarte serce. No i na tę wspaniałą herbatę, o którą w owych czasach wcale nie było łatwo – i o której za chwilę. Z daleka – rzecz jasna – podziwiałam stosunek Romana do kobiet, jak z *Casablanki*, naszego ukochanego filmu (pamiętam, że w ciężkich chwilach mówiliśmy sobie – jak dobrze byłoby kiedyś wykupić całe kino Iluzjon, czyli Śląsk, i codziennie oglądać rozstanie Humphreya Bogarta z Ingrid Bergman – było to wówczas, przed kilkunastu laty, marzenie absolutnie idylliczne, i jak się okazało jeszcze jeden dowód na to, że marzenia nigdy się nie spełniają; kino Iluzjon wprowadzić można by kupić, chyba nawet jest ono prywatną własnością, i wyświetlają tam od czasu do czasu *Casablankę*, tylko że nie ma już Romana. Zostało tylko zdjęcie, sprzed wielu, wielu laty, na którym Roman patrzy uwodzicielsko spod runda miękkiego kapelusza, przez ramię ma przewieszony trenz, a w ręku trzyma irchowe – to widać, choć zdjęcie jest oczywiście czarno-białe – rękawiczki; takie zdjęcie, jak myślę, mogła zrobić tylko piękna i bardzo zakochana kobieta); stosunek zatem Romana do kobiet wydawał się właśnie taki: wymagający wszystkiego i wybaczący wszystko... A kiedy kobieta odchodzi – to zaciśnięte z bólu pięści chowamy w kieszeni trenza. Jak w *Casablance*. Lub zapalamy papierosa. To wszystko.

Więc o kolejnych *love stories* dowiadywałam się w ten sposób, że na moje zaproszenie na przykład na imieninowy bal lub inną większą

okazję (bo robocze spotkania to co innego) Roman dziękując odpowiadał pytaniem: a czy mogę przyjść z ... i tu padało mniej lub bardziej zaskakujące mnie imię. Reszta była milczeniem. Co jednak wcale nie znaczy, że wszystkie panie, „które zechciały zwrócić na Niego uwagę” (to oczywiście wyrażenie samego Romana) towarzyszyły Mu na przyjęcia do mnie. Roman chadzał własnymi ścieżkami, które często bywały bardzo wąskie, jednoosobowe. Nie wiem, jak damy serca — ja wszakże czułam się z Nim spokojnie i bezpiecznie, wiedząc, że nigdy mi niczego nie odmówi. Pewnego razu trzeba było odebrać z magazynu cudem załatwiony wózek inwalidzki dla mojego Taty, o ósmej rano (było to bowiem w czasach, gdy życie ludzkie mogło zależeć również od magazynierów), nie później, i Romanowi nawet nie drgnęła powieka, by mi przypomnieć, że przecież „zwykł był” (to także jego ulubiony zwrot) pracować w nocy i że ósma rano nie jest porą dla dżentelmenów. Powiedział tylko to swoje OK — i wózek został odebrany oraz dowieziony Tacie.

A przy tym wszystkim był Roman ogromnie wymagający i grymaśny — dotyczyło to zarówno alkoholi, jak ubioru czy manier, i myślę teraz, że ta zabawna gęba dziwaka i tyrana mogła być dość wygodną i szczelną maską, chroniącą miejsca i sprawy nie na pokaz i nie na sprzedaż. Potrafił być też bardzo złośliwy; wyraźnie zresztą bawiła Go własna złośliwość. Nie nadużywał jej wszakże.

Ten pozorny abnegat — każdy, kto choć raz był na Śniadeckich, wie, co mam na myśli — był naprawdę sybarytą i dandysem. Świadczą o tym kamizelki i herbata. Zacznę od herbaty. Jej najprzedniejsza jakość, rytuał parzenia, filiżanki — wszystko to razem stanowiło przedmiot mniej lub bardziej łagodnych kpin całej Warszawy. Mnie wszakże to nie śmieszyło nigdy, jako że identyczny kult herbaty wyniosłam z domu. Ale w epoce topornych fajansowych kubków i tzw. herbaty ekspresowej — że nie wspomnę o przełomie lat 70. i 80., kiedy to porządnej herbaty do parzenia prawie w ogóle nie było, bo kawa przynajmniej była na kartki — otóż, w czasach postępującej degradacji herbaty to przywiązanie do niej uchodziło po prostu za przesadę, snobizm lub dziwactwo. Dlatego we wdzięcznej pamięci zachowuję pewnego dyskretnie eleganckiego pana, który zimą 1982 pojawił się na Pivnej, w Komitecie Pomocy Uwięzionym, z puszką drogiej herbaty Liptona — Pickwick dla internowanego Romana. Był to Jego niegdysiejszy nauczyciel angielskiego — który jak nikt

inny wiedział, że człowiekowi w każdej sytuacji przede wszystkim należy się „filiżanka mocnej, gorącej herbaty”.

Wiem też, że w różnych szafach i kredensach warszawskich (i nie tylko warszawskich) były (a może jeszcze są) specjalne filiżanki Romana lub dla Romana, których nikt inny nie śmiał używać.

Zaś co do kamizelki, to one właśnie były świadectwem fundamentalnego, by tak rzec, dandyzmu Romana, dandyzmu rozumianego zgodnie z XIX-wiecznym rodowodem tego pojęcia. Otóż prawdziwym dandysem był ktoś, kto niekonicznie był przesadnie lub wyrafinowanie elegancki, lecz przede wszystkim ten ktoś, czyj ubiór był głęboko przemyślany i konsekwentny, był swego rodzaju znakiem, czy nawet t e k s t e m, czasami też prowokacją. Wszystkie te funkcje pełniły kamizelki. Dżinsowe i w szkocką kratkę, dzienne, popołudniowe i wieczorowe, ekstrawaganckie i klasyczne. Nigdy nie widziałam Romana w garniturze i krawacie, marynarkę zakładał niesłychanie rzadko – kamizelki zawsze. Do iblowskich legend przeszła historia o tym, jak pewnego razu, za *ancien régime'u*, zaproszono Romana na lunch do Ambasady Brytyjskiej. Przekazująca telefonicznie zaproszenie sekretarka zaznaczyła, że szanowny i drogi gość spodziewany jest bez żony, ale za to w garniturze. Na co Roman miał odrzec, że przyjdzie i bez żony i bez garnituru, i myślę, że potrafił zasugerować tej pani, iż inny wariant nie wchodzi w rachubę. Jak wiemy, nie miał ani jednego, ani drugiego, co jest pewną rzadkością, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii. Roman zresztą pięknie tę historię opowiadał, i to nam, słuchaczom i słuchaczkom starczało za najprzedniejszy lunch. A skończyła się ta historia chyba dość banalnie – ot, po prostu pożył R. Z. coś stosownego od Janka Walca.

„Niebo i ziemia przemijają, chwycją się fundamenty światów” – pisał poeta, też mający w swej biografii miejsca trudne. Przy czym nie chodzi mi w tym przywołaniu Gałczyńskiego o proste (a nawet właściwie prostackie) porównanie. Każde życie jest inne i nie ma dwu identycznych motywacji. I dlatego, pamiętając o człowieku, zawsze chyba lepiej myśleć o tym, co wywołuje uśmiech, a nie gniew. Czyli o kobietach, herbacie, kamizelkach...

Izabela Jarosińska